

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 18 PAŹDZIERNIKA 1930 ROKU

NR. 42

ANDRZEJ STRUG

35)

ŻÓŁTY KRZYŻ

— Aleś go nie zostawiała samego?

— A, broń Boże, tylko na jedną chwilkę podeszłam do telefonu.

— To źle. Mógł co ściągnąć.

— Proszę pani! Taki poważny pan? Czy ja nie widzę, z kim się ma do czynienia?

W sypialni rozległ się srebrzysty głos Grety, nucącej jakąś piosenkę kabaretową. Pani Hipper uśmiechnęła się.

— Greto.

— Jestem, jestem...

Wpadła w czarnej jedwabnej pyjampie, świeża, roześmiana. Wysoka, długonoga, ostrzyżona krótko, była jak śliczny zniewieściany chłopiec. Siadła na kolanach przyjaciółki, objęła ją za szyję i szeptała wśród pocałunków:

— Ty jesteś moje bóstwo... Ty moje życie... Uratowałaś mnie... Cały flakonik dla mnie? Prawda? Cały, cały... Ja muszę mieć zapas... Od pięciu dni nie miałam ani okruszynki... Tylko dlatego szalałam... Ach, co za paskudztwo...

— Powiedz mi wszystko!

— Nie mogę... Tego już za nic nie mogę... Okropności...

— W Kiel?

— Zabrali mnie na jakiś torpedowiec...

— I co? I co? Mów wszystko, wszystko! — Pani Hipper przycisnęła do siebie Gretę, oplótła ją ramionami. Na ulicy zagrzmiały trąby.

* * *

Tłum kobiet zalał chodniki i jezdnię po obu stronach kolumny, uczynił się zamęt i zgiełk, bieganina, nawoływania. Kobiety kręciły się jak oszalałe, szukając, wracając, doganiając. Trudno było odnaleźć swojego, wszyscy zrobili się obcy i jednakowi w głębokich hełmach, w obciążeniu bojowym, z bronią na ramieniu. Latały, krzyżowały się w powietrzu i tonęły w zamęcie imiona, imiona, imiona. Nikt się nie odzywał, żaden nawet nie spojrział na stronę. Wszyscy, czwórka za czwórką, pluton za plutonem, kompania za kompanją patrzyli ostro w dal, gdzie za górami, za rzekami czekało na nich jakieś miejsce, dzień i któraś godzina. Żaden nie wiedział i nie pytał, dokąd go prowadzą, każdy wspominał dawne swoje służby bojowe, przeróżne a zawsze te same. Bywały płaskie pola, niebotyczne góry, trzęsawiska, bezwodne stopy, rzeki, jeziora, spalone słońcem wybrzeża morskie, zdradzieckie lasy. Wszędzie zastawali to samo, głębokie okopy, murowane schrony, blok-

hausy, przyczółki i druty, poplątaną gęstwinę rowów dobiegowych i chodników. Gdziekolwiek los nimi rzucił, zakopywali się w ziemię, tam walczyli, tam ginęli. Przemierzyli kraje północy i południa, wschodu i zachodu. Wszystkie strony świata zaznały ich niemieckiego miecza i wszędzie rozrzucone były ich kości. Starzy żołnierze... Jedni pamiętali wybuch wojny i Marne, inni przełom pod Gorlicami, zdobycie Warszawy, ci byli w Karpatach, ci nad Sommą, ci w Argonach, tamci pod Verdun. Ten był ranny nad Dniestrem, ten w Rumunji, ten w Serbji, ten w Turcji. Żołnierze z pod Rygi, z nad jeziora Narocz, z Tyrolu, z Gorycji, z nad Piave, z nad Tagliamento. Wybrani z rozbitych pułków, z różnych dywizji, korpusów, armji, najdzielniejsi, którzy przetrwali wszystko — bataljon szturmowy Nr. 117. Każdy pamiętał swoje, ale bataljon pamiętał wszystkie fronty, wszystkie natarcia, wszystkie odwroty — znał i pamiętał całą wojnę. Co sobie myślał który, czego chciał? Czem się gryzł? Czem się truł? Wszystko jedno. Albowiem bataljon tysiącgłowy szedł twardym krokiem mierzonym, jakby szedł jeden człowiek. Bojowa machina zbudowana przemądrze, spójna z żelazną mocą, nastawiona była na ślepą żądzę boju, na krew, na zwycięstwo. To głosiły trąby bataljonu i jego grzmiący krok.

Zbiedzeni przechodnie, mieszkańcy starego Heidelbergu, zatrzymywali się i setkami oczu patrzeli w twarze przechodzących żołnierzy. Patrzyli z żalem, że oto i ci jeszcze zginą i nie wrócą. Patrzyli z otuchą — dzielnych żołnierzy mają jeszcze Niemcy! Niektórzy wołali — niech żyje armja! — Kończcie tę wojnę! — Na Paryż! Krzyczeli — Hoch Vaterland! Hoch Kaiser! Okrzyki były nikłe, jak gdyby mieszkańcy Heidelbergu w tym czwartym roku wojny nie mieli już sił ani głosu.

Dzielnie maszerował bataljon, nie gorzej niż za najlepszych czasów. Niebawem została w tyle większość odprowadzających kobiet, rozciągnąwszy się w bezładną, rozproszoną gromadę. Pierwsze ustały stare babki i matki z niemowlętami na ręku. Spieszyły jak mogły, kłapiąc po bruku drewnianymi chodakami, ciągnąc za sobą po dwoje, po troje, po czworo krzyczących, zapłakanych dzieci. Wlokły się beznadziejnie, wiedziały bowiem dobrze, że dopóki bataljon się nie zawagonuje i nie odjedzie, na dworzec nie wpuszczają nikogo z publiczności. Szły coraz wolniej, ustawały, ostatnia czwórka oddawna znikła im z oczu za rogiem ulicy. Nie dochodził nawet dźwięk trąb...

* * *

Pani Greta wyszła z domu usmiechnięta, z blaskiem w oczach. Spowiedź przed przyjaciółką, jej pieszczoty subtelne, kąpiel i dwie dawki białych kryształków z weneckiego flakonika dały jej zapomnienie wszystkich brudów, żalów, strachów, przywróciły jej zwykłą niedbającą o nic lekkomyślność. Serce napełniło się dobrocią, wszystkie jej myśli były szlachetne. Spieszyła na dworzec, gdyż od dwóch tygodni nie była u rodziców, a tymczasem ten mały, głupi Hans o mało nie sprowadził na dom nieszczęścia. Po drodze zatrzymała się przed sklepem kwiatarskim. Śliczne kwiaty... Przynajmniej tego jeszcze nie brak biednym Niemcom, choć kwiaty w tych czasach to zbytek. Zbytek, ale i rzecz najpierwszej potrzeby — codzień przybywa tyle mogił bohaterów... I w niespodzianem natchnieniu weszła do sklepu i kazała sobie zapakować wszystkie cięte kwiaty. Zabrała ogromny snop, wyłożyła zań grubą wiązkę pięciomarkówek. Do cmentarza miała blisko, szła tam jakby spełniając zamiar dawno powzięty, chciała ukorzyć się przed świętością ofiary za ojczyznę i wśród czarnych krzyżów żołnierskich żałować brudów swego żywota, bezceństw i... zbrodni. Będzie ślubować nowe życie, odrodzone i czyste. Gotowa była przyjąć najcięższą pokutę.

Za starym zadrzewionym cmentarzem rozciągała się obszerna naga przestrzeń. W nieskończonych szeregach ciągnęły się jednakowe, wymierzone krzyże z daszkami nad kopczykami darniowych mogił. Miejscowy szpital garnizonowy był niewielki, parę pomocniczych szpitali w szkołach miejskich liczyło zaledwie po kilkadziesiąt łóżek, a jednak w czwartym roku wojny i tutaj, w zacisznym ustronnym miasteczku zdołały one zaludnić taką ogromną przestrzeń. Ze łzami w oczach obchodziła Greta mogiły, rzucając na każdą bodaj jeden skromny kwiatusek. Padały u stóp krzyżów tulipany, fioletki alpejskie, prymule, jonkile. Wydzielała je oszczędnie, wkrótce jednak znalazła się z pustymi rękami już w trzecim szeregu mogił, a zostało ich jeszcze tyle...

Wracała zawiedziona i strasznie smutna. Nie zdołała wypowiedzieć ślubowania ani uczcić w sobie tej chwili. Wszystko się w niej załamało. Z pochyloną głową, zdręczona szła ulicą cmentarną i sama nie wiedząc kiedy stanęła przed marmurową płaskorzeźbą paroletniej dziewczynki ze wstążeczką we włosach, z kwiatkami w ręku. Wtulona w blok czarnego polerowanego granitu uśmiechała się do matki.

— Dziecino, dziecino najśłodsza, pocóżes mnie opuścić? Gdybyś ty była żyła...

Stała długo i nie mogła się oderwać od mogiłki. Zakopana tu była jej dola prawdziwa, to, co być z nią powinno. Jej szczęście, godność i cześć. Gdyby nie została opuszczona, sama jedna, nie dałaby jej rady wojna. Łudząc się, kłamiąc i widząc własne kłamstwo, oskarżała los, jego przemoc i okrucieństwo. Broniła się wielomównym wyrzekaniem, wbrew oczywistości i prawdzie. Wszystkie dowody i racje odbijały się od dziecięcego skamieniałego w rzeźbie uśmiechu zmarłej córeczki.

— Może jednak będzie tego dosyć? Niepotrzebnie pani zwleka. Im prędzej, tem lepiej.

Obejrzała się i zanim ujrzała mówiącego, już wiedziała, kto za nią stoi. Wczorajszy sen z wagonu, młody człowiek w lisim kołnierzu patrzył na nią obojętnie i zimno. Pod tem wejrzeniem zadygotała ze strachu. Czyż obiecała mu przyjść na cmentarz? Zapomniała o tem. Jak mogła zapomnieć? Kto on jest?! Czego chce?! Pomieszały się w niej rzeczy byłe i przyszłone. W głowie szum i chaos. Wreszcie odgadła, uciekła ostatnia myśl. — Teraz trzeba pła-

cić. Hańba, szubienica, śmierć. I został tylko sam jeden niepojęty, fantastyczny strach.

Młody człowiek mówił spokojnie i niemal grzecznie. Ale właśnie w tej grzeczności było coś przerażającego. Rozumiała każde słowo, ale im dłużej słuchała, tem bardziej nieprawdopodobnem stawało się to wszystko. On wiedział, kiedy się to zaczęło, był mu znajomy każdy jej krok, wszystkie podróże, wszystkie orgje. Wymieniał nazwiska jej przelotnych, przypadkowych przyjaciół na jedną noc, gdy ona sama nie pamiętała już wielu, a o niektórych nie wiedziała nawet zgoła, kim są. Wyliczał oficerów floty, lotnictwa, broni chemicznej, sztabów, etapów. Wykazał jej utarte marszruty i główne punkty jej zbrodniczej działalności. Kiel-sztab marynarki, mapy pól minowych, Schilling — łodzie podwodne, Brema — zakłady „Vulcan - Werke“, Frankfurt — zakłady chemiczne „Casella“, Biebrich — „Kalle et Com“. Dalej Drezno — fabryki amunicyjne, wytwórnie masek przeciwgazowych, zakłady graficzne i tak dalej.

Greta jak człowiek tonący miotała się w niezgłębionej powodzi rewelacji, usiłowała rozpaczliwie chwycić się za cośkolwiek, utrzymać się na zalewającej ją fali. Nadaremnie. Każde nowe słowo obciążało ją i pogrążało. Wówczas dygocąc ze strachu ogarnęła młodego człowieka spojrzeniem podstępem, kuszącym. Ukradkowo ciskała obietnice, podsuwała obrazy bezwstydu i zapamiętania, zaprzedała się w niewolę, w rozchyleniu ust, w skurczu policzków, w przymknięciu powiek objawiła całą swoją sztukę rozbustwiania mężczyzny. Aż jej oczy zamglily się żądzą nieudaną, oblał ją dreszcz ekstazy i wparła w młodzieńca szalone oczy. To jedno mogło ją uratować. Ale młody człowiek nie zauważył tego. W tonie spokojnym, złowrogo uprzejmym oznajmił jej, że jest zbrodniarką bez czci i wiary i że zarobiła uczciwie na dziesięć szubienic, ale że jedna jej nie minie. Obiecał odroczenie szubienicy, pod warunkiem, że wyzna o sobie wszystko. Obiecał złagodzenie kary na dożywotnie celkowe więzienie, jeżeli wyda znanych sobie współników. Obiecał darowanie kary i zapomnienie win, jeżeli dopomoże do wykrycia centrali wywiadu angielskiego. Dotychczas była nędzną podrzędną szpiegówką, brudną aferzystką, kradła naoślep papiery ważne lub błahę swoim pijanym kochankom i podsłuchiwała to i owo, nic z tego nie rozumiejąc. Zbierała gdzie się dało śmiecie, w których przypadkiem trafiało się coś lepszego. Teraz może zostać człowiekiem, odkupić swoje winy. Może nawet dostać duże pieniądze. Niech wybiera. Nie trudno się domyśleć, co wybierze, ale niech pamięta, że najłżejszy ślad fałszywej gry zaprowadzi ją na szubienicę. Niech wie, że to ma zapewnione zgóry ponad wszelką wątpliwość.

— A teraz do rzeczy. Otrzyma pani plan naszej wielkiej wiosennej ofensywy. Termin co do dnia i godziny, odcinek wypadowy i ordre de bataille. Posiadając w ręku dokument tej wagi, musi pani dotrzeć do centrali angielskiej. Daję pani na to cały tydzień czasu. Niech pani porzuci swoją lekkomyślność i wysili cały swój spryt. Niech pani nie traci chwili czasu, bo tu idzie o pani życie. Każda godzina opóźnienia będzie pani policzona, a jeżeli pani nie wywiąże się z zadania na oznaczony termin, pójdzie pani na stryk i na tem koniec. Dzisiaj stawi się pani w Mannheim, Schliosstrasse Nr. 27, drugie piętro na prawo, godzina siódma minut piętnaście wieczorem u pani Doroty Meissner. Zapytać o pana Willich. Proszę powtórzyć!

(D. c. n.).

MAYERLING

24)

Hrabia Hoys tańczył z nią. Od chwili, gdy wie, że Rudolf obdarza go przyjaźnią, Marja czuje dla niego sympatię. Tańczy z Miguelem de Bragance. Jest on kuzynem następcy tronu. On również zaleca się do niej. Gdyby tylko chciała, poślubiłby ją nazajutrz... łatwa, bogata, księżęca egzystencja we wszystkich stolicach Europy... Odrzucić tak wspaniałą partję, to doprawdy bardzo wytwornie. Płochę myśli nie opuszczają Marji podczas tego wieczoru!

Wszystkie pary tańczące zatrzymują się. Co się stało? Arcyksiężna Stefanja, żona następcy tronu, przechadza się po salonach, w towarzystwie ambasadora Niemiec. Mijające ją pary składają czółobitne ukłony, panowie pochylają głowy, panie dygają głęboko.

Marja i Miguel de Bragance stoją nieruchomo. Arcyksiężna zbliża się, odpowiadając skinieniem głowy na ukłony. Jest duża, tęga, figura jej po jedynym macierzyństwie nie wróciła nigdy do dawnych harmonijnych kształtów.

Wydaje się Marji pozbawioną urody, wdzięku i serca; doprowadziła przecież Rudolfa, następcę tronu austriackiego, do ostatecznej rozpaczki; uniemożliwiła życie jemu, największej nadziei podwójnej monarchji; skazała go na śmierć! Te myśli gwałtowne snują się, kotłują w głowie Marji i zapalają w niej gniew...

Następczyni tronu stoi teraz o trzy kroki od Marji. Przygląda się młodej dziewczynie z zaciękawieniem i nieufnie... Jak znieść tyle bezczelności?... Wiele spojrzeń zwraca się w tę stronę, by przyjrzeć się spotkaniu żony z tą, która podobno — jest jej rywalką.

Jeszcze krok. Panie stojące obok Marji składają głębokie ukłony, panowie pochylają się. Spojrzenie arcyksiężnej ślizga się po Marji... która stoi nieporuszona. Jej nogi — jak tego wymaga etykieta — nie zginają się; głowę trzyma wysoko wzniesioną; przeszywa wzrokiem swojego wroga...

Stefanja i ambasador poszli dalej. Szepty. Od grupy do grupy mówi się coś na ucho. To coś powtarzają jedni drugim, to coś drży pod kryształowymi żyrandolami, wplątuje się w radosne tony walcu Straussa, w musującą pianę kieliszków szampana...

W dwa dni potem mrok wieczoru zimowego, niebo pełne chmur, gnanych wichrem; na zachodzie ponad szlakiem gór różowa przepaska; gałęzie sosen, uginające się pod topniejącym śniegiem; kilka niewielkich zabudowań, opasanych murem, znajduje się na pewnym wzniesieniu. Stamtąd roztacza się widok na kotlinę, parę domów stłoczonych dokoła kościółka o szpiczastej wieżycy, a dalej wielki obszar lasów.

To Mayerling, ulubione miejsce polowań, położony o czterdzieści kilometrów od Wiednia. Jest własnością następcy tronu.

Rudolf i Marja idą ścieżką, która wije się przez las. Wziął pod ramię młodą dziewczynę. Dokładny obraz rzeczywistości: on prowadzi, a jednak on wspiera się na Marji. Słychać monotonne stukanie dzięcioła o korę buku, lub trzepot jego skrzydeł, gdy go płoszą ludzkie kroki. Ścieżka idzie pod górę. Chwilami Marja zatrzymuje się.

— Jestem zadyszana — mówi Marja.

Bierze rękę Rudolfa i kładzie ją na swoim sercu. Rudolf czuje poprzez lutrowe futro, otulające ją, przyspieszone tętno. Krew krąży w tym młodym organizmie...

— Chciałabym zablakać się Rudolfie — mówi Marja — lecz z tobą jest to niemożliwe. Wszystkie te drzewa znają cię osobiście i trzymają straż przy tobie. Bać się nawet nie mogę.

Idą dalej. Nie zdaje im się, że są zmuszeni rozmawiać. Nie przerażają ich milczące myśli; nic nie ukrywają przed sobą. Marja zatapia się w zimowym lesie, o którym marzy od dawna.

Trzeba wrócić wreszcie, noc jest czarna. W oddali błyszczą kilka światełek w wiejskich chatkach. Jeszcze dwa kroki i już są w leśniczówce.

Dość duży pokój, będący zarazem salonem i jadalnią; trofea myśliwskie i sztuchy z scenami rodzajowymi zdobią ściany. Kwiaty. Ile kwiatów! Nigdy nie była tak fetowana! Czyż nie jest sama podobna do tych róż zaledwie rozkwitłych, które umrą niebawem? Rudolf odsuwa kotarę; to sypialnia, małeńki pokój, jest w nim tylko olbrzymie łoże; za sypialnią garderoba.

— To wszystko — mówi Rudolf — czy będzie ci dosyć wygodnie?

Rzuca mu się na szyję, ażeby ukryć rumieńce, występujące na policzki.

Marja uciekła z domu, z torebką w ręce, jak gdyby szła po zakupy do wiedeńskich sklepów.

W garderobie znajduje nocną bieliznę, wytworną suknię z białych gaz i koronek, oraz urocze pantofelki obszyte puchem łabędzim. Rudolf myślał o wszystkim. Całuje go raz jeszcze, gdyż pragnął, ażeby była piękna, gdy zasiądzie do obiadu.

Kiedyindziej, obiad ten w towarzystwie przyjaciół Rudolfa, księcia Filipa Koburskiego, oraz hrabiego Hoyosa, zaniepokoiłby ją. Lecz teraz już Marja i Rudolf są zdala od świata, nie istnieje dla nich żadna etykieta i obawa, co powiedzą o tem. Tyka przy obcych swojego kochanka.

Czemu nie rozumieją, słysząc ją mówiącą tak do Rudolfa, że jest już u bram grobowca? Nic nie widzą; jakie to zabawne. Obiad mija wesoło. Bratfisch, którego sprowadzono, gwizdże melodje ludowe z taką sztuką i humorem, że Marja nie przestaje się śmiać.

I wszyscy udają się wcześniej na spoczynek, gdyż jutro jest polowanie i, trzeba wstać przed świtem. Na nieszczęście, pogoda straszna, wichur dmie przez góry. Może dzień będzie pochmurny.

Po raz pierwszy Marja zaznaje słodyczy — po tysiącach pieszczoł — snu w ramionach Rudolfa. Budzi się późno i znajduje go obok siebie.

Zdumienie, oczarowanie! Nie poszedł na polowanie.

Nie rozstanie się z nią ani na chwilę. Przed oknami zamieć śnieżna, zawieja, wichur gnie drzewa, które jęczą! Rudolf żartuje z nią, bawi się, przekomarza! Jakże się cieszy, widząc go takim beztroskim, czułym!

Po śniadaniu, korzystając z wypogodzenia, udają się znowu na przechadzkę po lesie. Mają już swo-

je przyzwyczajenia! Widzi Rudolfa spokojnego, zmarszczka przecinająca czoło zniknęła bez śladu.

Przerażała go jedynie przeszłość pełna trosk; lecz teraz oczy Rudolfa, tak samo jak i jej spojrzenie, zwrócone są w przyszłość! Przez chwilę myśli jeszcze o tem, co porzuca z miłości dla niej... Widziała któregoś dnia w skarbcu koronę Karolingów, całą z masywnego złota, bogato inkrustowaną drogiemi kamieniami. Spogląda ukradkiem na Rudolfa, wyobraża sobie tę ukochaną głowę w tysiącletniej koronie.

„Byłby w niej piękny! I przezemnie...”

Nie myśli o tem, co poświęca sama, o cudownym kwiecie własnej młodości, o strachu ostatnich godzin — godzin tak bliskich. Cieszy się, że będzie towarzyszyć Rudolfowi, tam, gdzie on pragnie udać się. Czy mogła go puścić samego w podróż, z której nie powraca się?

Dzięki obecności tej, którą kocha, jest szczęśliwy...

Lęka się dla swego ubóstwanego chorego godzin mroku. Każe jaknajwcześniej zapalić lampy.

Pragnąłbym napisać list — mówi Rudolf.

Obrzuca go niespokojnym spojrzeniem.

„Ma jeszcze jakieś sprawy do załatwienia? Wiąże go coś z życiem, od którego ucieka?”

Rozumie ją, chociaż nie odezwała się słowem.

— Tylko do mojej matki... Jest cmentarz w lesie, blisko stąd, w Alland. Ażebyśmy spoczęli na nim, obok siebie. Ci, którzy cierpią tortury nieszczęśliwej miłości, będą przynosić nam kwiaty i modlić się będą na naszym grobie. Będzie więc zawsze ukwiecony, i w naszym śnie słyszeć będziemy słowa szeptane przez kochanków.

I Marja pisze listy, do matki, siostry, brata. Prosi o przebaczenie, że odejść musi w ten sposób. Jej życie na wieki związane jest z życiem Rudolfa. Nie dają mi spokoju na tym świecie. Posiłkuję się słowami serdecznymi i naiwnymi. Pisze do brata, żeby nie płakał i przyrzeka mu, że będzie czuwać nad nim z tamtego świata.

A teraz obiad. Zasiada z nimi do stołu hrabia Hoyos. Książę Filip Koburski wrócił do Wiednia i zawiadomił w Hofburgu, że Rudolf nie będzie obecny na rodzinnym obiedzie.

Wreszcie, nadeszła noc. Są stopieni w uścisku, nie mówiąc wcale, lub też szepcą do siebie najczulsze słowa, tysiące czułych słów, które zwykli są zwierzać sobie kochankowie. Marja nie wie, co postanowił Rudolf. Kiedy nastąpi koniec?

Nie pyta go. Pada ze zmęczenia i wtulając się w jego ramiona, szepce:

— Gdybym mogła nie obudzić się więcej.

I traci świadomość.

Sen wyciska pocałunek na jej odemkniętych wargach. Śpi ufna i szczęśliwa, jak dziecko. Noc rozpostarła się nad nią i noc nad Rudolfem. Śni i uśmiecha się. Nie czuje u swego boku poruszającego się Rudolfa. Nie słyszy, jak wstaje. Nie słyszy też stłumionego jęku, ani hałasu otwierającej się szuflady, nie słyszy odgłosu stali... Nie widzi w niepewnym świetle sączącym się z okna skradającego się cichym krokiem Króla trwogi.

* * *

Pierwszy wystrzał z rewolweru obudził Loschka, który spał w pobliżu swojego pana. Jeszcze wpół senny nie mógł zorientować się, gdzie padł strzał. Może jakiś strzelec... Mimo to wstał. W chwili gdy zbliżał się do korytarza, prowadzącego do pokoju

arcyksięcia, rozległ się drugi strzał za drzwiami. Tymczasem zjawił się hrabia Hoyos. Wywalili drzwi.

Na łóżku spoczywała Marja, pokryta różami. Piorunująca śmierć raziła ją w czasie snu. Nie uczyniła żadnego gestu.

W poprzek łóżka leżał Rudolf, następca tronu Austro-Węgier, z głową okropnie potrzaskaną strzałem rewolwerowym, wymierzonym w prawą skroń.

E P I L O G

Tej środy, o jedenastej przed południem, pani Schratt, zawsze stojna i radosna, kazała zameldować się u cesarzowej, która czekała na nią.

Cesarzowa przyjęła panią Schratt w swojej sypialni. Nawiązała się swobodna rozmowa między temi kobietami, tak różniącemi się od siebie — kobietami, które dzieliły życie osobiste cesarza.

Pani Schratt posiadała dar bawienia cesarzowej.

W tym momencie otworzyły się drzwi, prowadzące do salonów recepcyjnych i na progu ukazała się jedna z dam dworu, pani de Ferenczi, która cieszyła się specjalnemi względami cesarzowej.

Chociaż pani de Ferenczi przywykła panować nad sobą, twarz jej wyrażała wielką rozpacz.

Cesarzowa wskazała ją ze śmiechem pani Schratt i rzekła:

— Proszę spojrzeć na nią. Widzi wszystko w oświetleniu dramatycznym! Oznajmi nam z pewnością, że mole zjadły jedno z moich futer...

Ten żart nie wywołał oczekiwanego wrażenia. Bladej twarzy pani de Ferenczi nie rozjaśnił żaden uśmiech. Podeszła do cesarzowej z listem w ręce. Nieszczęśliwa dama drżała na całym ciele.

Wreszcie, odezwała się:

— Hrabia Hoyos wrócił w tej chwili z Mayerlingu.

Urwała. Oczy cesarzowej pożerały ją... Po chwili dodała niewyraźnie:

— Straszne nieszczęście!... Umarł następca tronu!...

Mimo całego swojego męstwa, cesarzowa zachwiała się pod tym ciosem. Podbiegła pani Schratt, ażeby podtrzymać ją.

Razem z panią de Ferenczi ocuciły cesarzową. Cesarzowa posiadała silną duszę; głosem zmienionym wypytywała o szczegóły... Samobójstwo! Myśląc o podobnej śmierci tylu swoich krewnych, drżała na całym ciele. Arcyksiążę pociągnął za sobą młodzieńką baronównę Vetserę... Wzięła list z rąk pani de Ferenczi i przeczytała pierwsze słowa:

„Moja najdroższa matko, zabiłem...”

Nie mogła czytać dalej. Nie odzywając się słowem, ukryła twarz w rękach i zaczęła płakać.

Następnie wyprostowała się.

— Cesarz! Musi dowiedzieć się natychmiast...

I zwracając się do pani Schratt:

— Kto z nas powie mu?

Obie kobiety spojrzały na siebie. Kto ośmieli się pójść do jego gabinetu i zanieść mu tę straszną nowinę?

Trwały tak, przerażone, wahające się, z sercami rozdartymi, gdy nagle usłyszały kroki na czterech drewnianych schodkach, dzielących apartamenty cesarza od apartamentów jego małżonki.

— To on — szepnęła cesarzowa, przysuwając się do pani Schratt.

Otworzyły się drzwi, stanął w nich Franciszek Józef. Na pomarszczonej twarzy widniał zadowolony uśmiech ucznia, który na kilka chwil opuścił klasę.

(D. c. n.).